

## ...i znowu będzie wiosna!

### III. Piękniejące wspomnienia wiosny

To dziwne – nadal czuję, że jestem w wiosnie mojego życia, chociaż rozum i odbicie mojego wyglądu w lustrze oraz w oczach napotykanym ludzi mówią mi o jesieni. Niedawno widziałem się z grupką kolegów, którzy organizują spotkanie koleżeńskie naszego rocznika akademickiego w pięćdziesięciolecie otrzymania dyplomów lekarza. Dotychczas wszyscy kręciliśmy się wokół naszych codziennych spraw jak chmurki elektronów w atomie wokół jego jądra. Rzadko więc spotykaliśmy się i wystarczyło nam, że wiemy o swoim istnieniu.

Poznaliśmy się wszyscy, choć wszyscy wyglądaliśmy inaczej i na nowo uczyliśmy się wzajemnie swoich wyglądom. Dyskusja nad wspólnym problemem spowodowała, że znowu byliśmy tacy, jak zawsze; pełni energii, pomysłów i zapału do zrobienia czegoś dobrego. Gdy szykowaliśmy się do wyjścia, na moment musiałem oddalić się. Jakie było moje zdziwienie, kiedy wracając nie zastałem już moich kolegów, a wokół stolika stała grupka ubranych ciepło, starszych ludzi, zajętych rozmową. Zrobiło mi się przykro, że nie zdążyłem pożegnać się z kolegami nim odeszli. Spróbowałem ich dogonić. Musieli być szybcy, bo nie było ich już przed budynkiem restauracji. Wróciłem jeszcze raz do miejsca spotkania, i nagle zdałem sobie sprawę, że grupka starszych ludzi, to moi koledzy! Przypomniał o tym charakterystyczny śmiech jednego z nich. Zawstydzony nie przyznałem się, że minąłem ich, bo po prostu ich nie rozpoznałem. Nowy dla mnie ich wygląd jeszcze nie utrwalił się w mojej pamięci, szukałem więc koleżanki i kolegów sprzed ponad pięćdziesięciu lat. Rozbieżność poczucia siebie, jako niezmiennie młodego, choć co raz bardziej doświadczonego z jednej strony, a z drugiej wygląd i poczucie narastających ograniczeń wydolności fizycznej własnego ciała, jest dla mnie ciągle zadziwiająca. Nie wiem, jak czuje się gąsienica przed zamianą w poczwarkę, chyba nie ma nadmiaru pewności siebie, choć przecież z poczwarki zmienić się ma w pięknego motyla. Myślę, że czuje się podobnie jak ja i moi rówieśnicy obecnie. Nie chcę zatrzymać czasu, ani go cofać, ani też przyspieszać. W oczach wiosnianej młodzieży, ja jesienny młodzieniec, zamieniam się w poczwarkę. Reakcje otaczających ludzi nie pozostawiają mi złudzeń – moja wiosna życia zakrywana jest szybko starzejącą się i marszczącą jak usychający liść powłoką.

Na wszystko w życiu jest czas. Jest czas samolubstwa i uczenia się bycia sobą wśród ludzi, czas nadziei na szybkie osiągnięcie szczęścia, czas zaufania we własną moc, czas buntu wobec własnej niemocy i czas nauki pokory. Nauka pokory jest trudną nauką.

Całe życie było i jest ciągłym uczeniem się. Z nauki życia we wczesnym dzieciństwie niewiele pamiętam. Jak stare, pożółkłe fotografie w albumie pozostały wspomnienia wyjątkowych chwil, chwil przepełnionych poczuciem szczęścia i chwil bólu, zagrożenia i poczucia odrzucenia. Szczęśliwe chwile to te, w których czułem się otoczony ciepłem miłości rodziców. Pozostała w pamięci do dzisiaj scena z okresu chyba niemowlęcego: uczepiony byłem poręczy drabinki kojca, a nade mną pochyleni, uśmiechnięci rodzice, mówili do mnie. Matka odezwała się – *Zaraz dostaniesz coś dobrego! Kaszkę na mleku. Lubisz kaszkę? Tak, tak, bardzo lubię kaszkę na mleku* – odpowiedziałem, jak mi się zdawało, jasno i wyraźnie, a zdziwiłem się, gdy rodzice buchnęli śmiechem. *Ooo! Zobacz! On nas rozumie i nawet mówi!* Pamiętam do dzisiaj tamto moje zdziwienie – *Jak to? To oni nie wiedzą, że ja ich rozumiem?* Nie zapomniałem lekcji, jaką przerobiłem jako niemowlak. Kiedy dzisiaj widzę wzrok małych dzieci w wózkach, kierowany na twarze dorosłych, a zwłaszcza wzrok skierowany na oczy przyglądającego się dorosłego, czuję, że dziecko wie już wiele i jeszcze więcej chce się nadal dowiedzieć, choć nie może jeszcze mówić. Patrę w mądre oczy małych stworzeń, jak przez lata zdarzało się patrzeć w oczy chorych w oddziałach intensywnej terapii, którzy nie mogli normalnie mówić, a mówiły wtedy i pytały ich oczy. Gdy ktoś z otoczenia nie zapominał o tym, że słyszą i rozumieją i zwracał się do nich, jak zwraca się uprzejmie człowiek do człowieka w codziennym życiu, oczy rozbłyskały wyrazem ulgi i radości. Ulga widoczna w oczach dziecka lub ciężko chorego, który dostrzegł, że ktoś widzi w nim normalnego człowieka i zechciał nawiązać z nim kontakt, zawsze była wyraźnie rozpoznawalna i radosna. Ulga i radość przenosiły się na salową, pielęgniarkę i lekarza, którzy w zamkniętym w niesprawnym ciele człowieka dostrzegli kogoś bliskiego i normalnego, a nie przypadek lub gorszego od siebie, ograniczonego człowieka – podczłowieka.



Co jeszcze zostało w pamięci? Utrata raju. Utrata raju nastąpiła nagle, w sposób dla mnie nieoczekiwany. Gdy byłem trzyletnim chłopcem urodziła się moja mała siostrzyczka. Mój świat się zawalił. Rodzice mieli dla mnie mniej czasu, bo rodzeństwo na początku swojego życia było tak wymagające jak ja trzy lata wcześniej. Skupienie uwagi nie na mnie, a na kimś, kto pojawił się nagle nie wiadomo skąd i wszystko zmienił, wywołało we mnie uczucie odręczenia. W długie dni zajmowałem się sam sobą i robiłem samodzielnie piesze wycieczki krajoznawcze, czasami daleko poza dom. Odkrywanie świata bez przewodników było podniecające. Do dzisiaj jako najpiękniejszy odczuwam zapach bratków, których kolorowe kwiaty o delikatnym zapachu podziwiałem, wpatrując się bardzo długo w każdą roślinkę. Dalekie wędrówki bywały niebezpieczne. W błotnistym gruncie przydomowego ogrodu zapadłem się głęboko i nie mogłem wyciągnąć nóg, by ruszyć z miejsca. Pamiętam strach niemocy i ulgę, kiedy wyrwałem nogę z błota i z jednym bucikiem wróciłem szczęśliwie do domu.

Mówienie o sobie jest jedną z przyjemności samoluba. Nie chcę więc przynudzać, bo historia życia każdego człowieka jest najciekawsza dla niego samego, a dla kogoś, zabieganego wokół własnych spraw, historia cudzego życia jest jak gruby album rodzinny, wręczony gościowi dla dokładnego poznania migawek z życia właściciela. Migawki z życia mają wartość emocjonalną i pozwalają wzbudzić ciepłe wspomnienia tylko u ich bohaterów utrwalonych na przyblakłych fotografiach. Dla uprzejmie oglądającego album gościa są ciekawe jedynie o tyle, o ile wzbudzają w nim pamięć własnych przeżyć. Zarówno autor albumu, jak i oglądający cieszą się, ale autor cieszy się, gdy wspomina swoje radosne chwile, a oglądający cieszy się, gdy album zostaje zamknięty. Ograniczę się więc do tych tylko wspomnień osób i zdarzeń, o których obecnie sądzę, że miały wpływ na kolejne wybory życiowe i kształtowanie osobowości mojej i moich rówieśników. Na obecne postawy wpływ miały rodzina, szkoła, religia i ciągła zależność od całego świata ludzi, od najbliższych aż do najodleglejszych w przestrzeni i czasie osób, od których sygnały docierały w najróżniejszej postaci i wpływały na osobiste wybory życiowe.

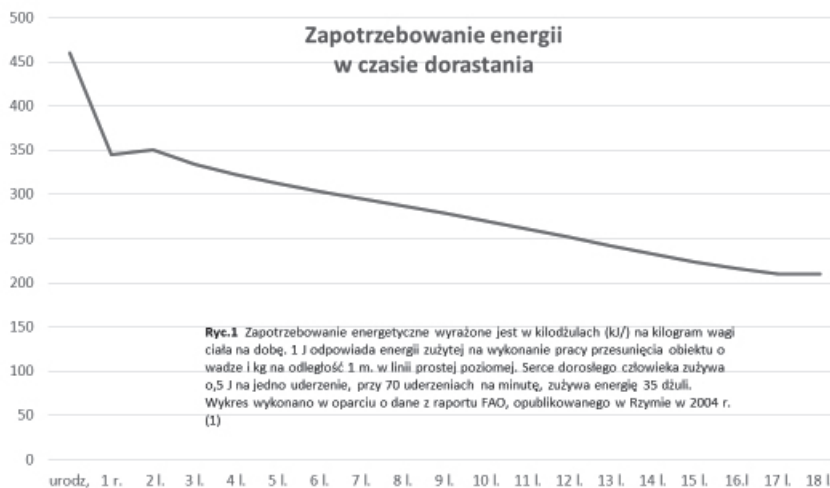
## Rodzina

Byłem szczęściarzem, bo wyrastałem w domu, w którym rodzice byli zawsze w pobliżu. Rodzice byli mądrymi i dobrymi ludźmi. Nie mieli warunków na formalne wykształcenie, ale ich szeroka wiedza i logika w myśleniu i działaniu zawsze mi imponowały. Do dzisiaj uważam, że należą do grupy najmądrzejszych i najlepszych osób, jakie spotkałem w życiu. Z każdą sprawą w każdej chwili można było pobiec do mamusi, która była sercem świata, który rozciągał się od domu do otaczających go ogrodów i łąk, przez które płynęła mała rzeczka Łęcza. Na okręgu horyzontu panowały kolejowa stacyjka, za którą widniały budynki mleczarni, od wschodu, żółty dalek dom i dachy dalszych domów miasteczka, od północy wyniosła wieża kościoła na wzgórzu w środku miasteczka a od zachodu i południa rozciągały się ogrody i łąki, które wyparły konwaliowe pola, uprawiane do czasów wojny. Świat, w którym wyrastaliśmy, był tajemniczy. Zakątek Ziemi Odzyskanych nosił ślady wojny. Wiele było gruzów, wiele zniszczonych i wypalonych domów, wraków samochodów. Mieszkańcy, szukający lepszego życia w miasteczku pochodzili i z kresów wschodnich i z centralnej Polski, głównie Wielkopolski. Kresowiaci, którzy utracili wszystko materialne, co w życiu zdobyli, nakłaniali swe dzieci, by jak najwięcej się uczyły i zdobywały wiedzę i umiejętności, bo jedynie to można unieść wraz z własnym życiem z zagrożenia. Wielkopolanie zaś nakłaniali dzieci do wyuczenia praktycznych zawodów i rzetelności w działaniu. Jedni na drugich patrzyli z nieufnością. Rodzice wspominali, jak kiedyś odwiedzili ich nowi mieszkańcy miasteczka i zapytali: *A wy skąqąq? Zza Buga? Nie, z poznańskiego* – odpowiedzieli rodzice. *Aj! Tfu! Niemce!* – zakrzyknęli goście, odwrócili się i szybko odeszli. Rodzice, podobnie jak i inni osiedleńcy, żyli w ciągłej niepewności jutra. Panował lęk, iż w każdej chwili znowu zmieni się coś i znowu trzeba będzie uciekać. W większości domów przygotowany był zapas na drogę: sól, cukier, mąka, smalec. Doświadczenia wojennego strachu o życie były ciągle trwałe a jednocześnie radość z nowej szansy na normalne życie maskowała lęki i rany psychiczne z przeszłości. Nasz dom był spokojny i ciepły. Wspólne posiłki były chwilami, w których i ja i siostra, czuliśmy, że wraz z rodzicami stanowimy jedność, w której wszyscy są ważni i wszyscy kochają i są kochani. Najmilsze były jesienne i zimowe wieczory, w których po kolacji siadaliśmy wszyscy przy nagrzanym, kaflowym piecu, na rozłożystym fotelu, który mieścił nas wszystkich i słuchaliśmy czytanych przez mamę opowieści. Były to książki z bajkami. Matka czytała książki polskie i czytała teksty niemieckie bajek, tłumacząc je na zrozumiały język polski. Ojciec chodził jeszcze w czasach zaborów do pruskiej szkoły, matka zaś

opanovała język niemiecki podczas okupacji. Przeżywaliśmy wszyscy razem troski i radości. Świat rodzinnego domu wydawał się bardzo bezpieczny. Obrazy rozświetlonej choinki i zapach woskowych świeczek, biel obrusa na wigilijnym stole oraz podniosła, spokojna i ciepła atmosfera wigilijnego wieczoru, składane życzenia trwają w mej pamięci, gotowe do przywołania w każdej chwili. Stopniowo było lepiej. Znikała obawa o to, że nie wystarczy pieniędzy na opał i na spokojne przeżycie kolejnej zimy. Przekraczanie progów szkoły podstawowej, liceum ogólnokształcącego i akademii medycznej zapamiętałem jako bardzo niepokojące i przełomowe chwile w życiu, bo mówiło o tym wyczuwalne u rodziców napięcie i sam przeżuwałem, że przyjęcie lub nieprzyjęcie do szkoły średniej, a później na studia, znacząco wpłynie na moje dalsze życie.

Dopiero dzisiaj, gdy staję się słabszy, wolniejszy i coraz szybciej się męczę, dociera do mnie, z jakim wysiłkiem odbywa się wyrastanie człowieka z dzieciństwa do dorosłej samodzielności. Odczuliśmy z żoną pojawienie się w naszym domu pustki, gdy wyszły z niego dzieci i założyły swoje własne rodziny. Z emocjonalnym przyciśnięciem pojawiło się też poczucie zwiększenia czasu wolnego i zmniejszenia wysiłku w zabieganie o utrzymanie domowego bytu. Dzieci, do swojego rozwoju potrzebowały mnóstwo energii a w jej dopływie pomagaliśmy my, rodzice. Zmniejszoną konieczność dzielenia się pozyskaną energią o połowę odczuliśmy wyraźnie. Tyle samo, a może więcej energii, bo zdobywanej w trudniejszych czasach, musieli zapewnić nam i sobie nasi rodzice. Jak umieliśmy, oddawaliśmy część tego, co sami otrzymaliśmy.

Dużo energii potrzebuje każdy z nas od początku życia; początkowo tylko dla siebie, potem do podziału z współmałżonkiem a następnie i dla siebie i dla wspierania rozwoju dzieci. Strumień energii podtrzymuje strumień życia. Energochłonne są przecież już samo kształtowanie ciała w okresie embrionalnym, sam wysiłek okołoporodowy rodzącego się człowieka oraz dalsze wzrastanie i dojrzewanie w dzieciństwie i młodości. Największe zapotrzebowanie energetyczne dla utrzymania życia i rozwoju ma człowiek w swej najbardziej dynamicznej fazie - do 3 roku życia. Jak widać na zamieszczonym na rycinie 1 wykresie, wykonanym w oparciu o dane raportu FAO z 2004 roku, największe zapotrzebowanie energetyczne, mierzone ilością kJ (kilozdżuli) na kilogram na dzień ma noworodek. Nieco zmniejsza się ono, ale pozostaje wysokie do drugiego, trzeciego roku życia, następnie maleje do 17-18 roku życia [1].



Całkowite wydatki, a tym samym odpowiednie zapotrzebowanie energetyczne, zmieniają się w ciągu życia człowieka. W jego pierwszych latach wiele energii zużywa wzrost, zwłaszcza rozwój mózgu. We wczesnym dzieciństwie, rozwijające się szybko mózgowie zużywa 66% spoczynkowej energii organizmu, podczas gdy u dorosłego człowieka ok. 20% energii, mniej niż zużywa wątroba i śledziona (27%). Ostatnio antropolodzy Kuzawa i Blair upatrują odwrotnej zależności między wydatkowaniem energii na rozwój, utrzymanie i pracę mózgowia, a otyłością. Uważają, że u szczupłutkich, ruchliwych dzieci z ich nienasyconą ciekawością wszystkiego, co otacza i męczących

rodziców pytań „dlaczego?”, większość energii zużywa mózgowie i wszystkie układy, związane z poruszaniem się i pracą nauki przez doświadczenie, przez co nie ma wolnej energii do odłożenia na potem w warstwach tkanki tłuszczowej [2]. Życie człowieka, nawet gdy zachowuje się biernie, jest pracą, do której niezbędny jest stały dopływ energii. Pracą jest stałe podtrzymywanie wszystkich struktur ciała w gotowości do działania i ich ciągłe przeciwstawianie się siłom ziemskiej grawitacji. Pracą jest oddychanie, trawienie, utrzymywanie stałej temperatury ciała, utrzymywanie przepływu krwi, kontrola przepływu wody i potrzebnych materiałów oraz ciągła praca ośrodkowego układu nerwowego. Mózgowie pracuje dla podtrzymania życia w sposób ciągły, podobnie jak serce, choć jego praca jest bardziej złożona. Pracę zwyczajowo rozumiemy jako przekazywanie własnej energii na wywołanie zmian w środowisku działaniem mechanicznym. Tymczasem pracą jest przekazywanie energii między układami fizycznymi także w innych procesach. Nie przypadkiem tak duża część energii człowieka jest wykorzystywana do rozwoju mózgowia i jego pracy. Uczenie się, czyli pozyskiwanie, analizowanie, zapisywanie, odtwarzanie i wykorzystywanie informacji w procesach opracowywania najlepszej decyzji w jakiejś sytuacji i nadzorowanie jej spełnienia jest bardzo energochłonne. Przesyłanie drogą synaptyczną jednego bita informacji w układzie nerwowym człowieka wymaga energii 24 000 energonośnych cząsteczek adenozyno-trójfosforanu (ATP) a każda z nich uwalnia energię  $10^{-19}$  J [3]. Przepływający przez człowieka strumień energii w ciągu doby odpowiada zużyciu tyłu kilogramów ATP ile waży sam człowiek. Dorosły o wadze 70 kg zużywa w ciągu doby około 12-16 mJ, albo inaczej 3,3-4,4 kilowatogodzin dziennie [1].

Jak każdy człowiek, jestem więc bardzo energochłonny. Czy mam się tym martwić? Życie w ogóle, w tym i moje doczesne życie musi mieć sens, skoro tyle energii wkłada w jego utrzymanie natura całego ożywionego świata. Wzmacnia to moje przekonanie o ponadczasowym, choć jeszcze nieodkrytym ludzkim umysłem celu istnienia człowieka. Jestem energochłonny a jednocześnie energooszczędny. Wszystkie chemiczne i fizyczne czynności ludzkiego ciała są jak odgłosy instrumentów muzycznych w wielkiej orkiestrze, układające się w jedną wielką, harmonijną muzykę życia. Rozpadające się podczas uwalniania energii związki chemiczne, pomagają sterować bilansem energetycznym organizmu: zwiększają dopływ strumienia energii i zmniejszając jej zużycie. Budowane współcześnie superkomputery, częściowo wzorowane na wiedzy o strukturze i funkcji układu nerwowego, by osiągnąć możliwości działań zbliżone do przeciętnego ludzkiego mózgu, zajmują dużą przestrzeń i zużywają znacznie więcej energii. Podczas gdy mózg człowieka zużywa 15 Watów, superkomputer „Blue Waters” (USA 2011) zużywał 15.000.000. watów [5].

Szczególnym rodzajem energii jest miłość. Dzieci otoczone miłością, zachęcane (ale nie przymuszane!) do nauki mają lepsze warunki rozwoju. Pozyskują energię do wzrastania i rozwoju nie tylko z właściwym odżywianiem. Energię pozyskują i tracą nie tylko dla siebie, ale i dla swoich dzieci rodzice, pracujący na energię żywienia, zmniejszanie strat energetycznych dzieci zapewniając ciepły dom i ciepłą odzież zimą oraz wszystko, co ułatwia zabawę-naukę w domu i naukę w domu i szkole. Rodzice też są pierwszymi nauczycielami, przekazującymi podstawową wiedzę i uczą zachowania pośród innych ludzi. Są prawdziwymi autorytetami. Patrząc na wszystko męskim okiem i ciągle zostając pod wrażeniem trudu mojego ojca w zapewnienie bytu naszej rodzinie, jednak to matka była zawsze światem najbliższym, ucieczką w zagrożeniu źródłem ciepłej energii, jaką przekazywała otoczeniu. Objawiana w słowach pocieszenia, zachęty lub uznania, w ciepłym uśmiechu matczyna miłość do najbliższych, choć była zjawiskiem bardziej emocjonalnym i bardziej psychicznym niż fizycznym, to jednak niosła ze sobą pozytywną energię. Atmosfera wzajemnej życzliwości i poczucia bezpieczeństwa w rodzinnym domu, miała potencjał energii dodatkowo – znosiła w domownikach lęki, niepokój i napięcie, związane z czającym się gdzieś zagrożeniem. Uspokajające słowa, uśmiech, spokojna rozmowa i wyrazy akceptacji tęskniących do dorosłości małych ludzi zmieniały całe nasze, moje i mojej siostry zachowanie, budziły ufność w sens życia i otaczającego świata, budziły wiarę we własne możliwości.

Dzisiaj z jeszcze większym przekonaniem uważam, że stan ducha, wyrażający się odczynami emocjonalnymi, jest stanem energii człowieka – potężnej, choć jej źródłem w niewielkim stopniu jest materia ciała. Efekty działania silnych emocji na fizjologię materialnego ciała mogą być wzmacniające, budujące, albo hamujące i niszczycielskie. Emocje o dodatnim zabarwieniu, jak wiara, nadzieja, miłość, współczucie, poczucie wspólnoty i zrozumienia innego człowieka, działają budująco, zwiększają ufność we własne siły i możliwości i kierują energię codzienną na działanie, dające poczucie zadowolenia, poczucie, że uczestniczyło się w czymś dobrym. Emocje o negatyw-



nym zabarwieniu, nienawiść, gniew, zazdrość, pyszna samoocena i pogarda dla innych, działają niszczycielsko. Powodują codzienne przekierowywanie energii na działania w obronie własnej, urojonej wyjątkowości. Wiele energii jest marnotrawione na codzienny, upiększający makijaż psychiczny, krycie i zakłamywanie swoich błędów, czy niedostatków psychicznej dojrzałości oraz walkę z całym światem, który nie poddaje się władzy urojeń i nie ubóstwia skrajnego egoisty.

Mój rodzinny dom wypełniony był miłością, a mimo to ciągnęło mnie do zewnętrznego świata, a nade wszystko do ludzi w tym świecie. Każdy spotkany człowiek budził ciekawość. Budził radosną ciekawość, jeśli człowiek ten był dzieckiem, najlepiej w podobnym wieku. Cały człowieczy świat opierał się na rodzicach i rodzeństwie a przychodzący i odchodzący goście podkreślali jedynie znaczenie tego świata. Wszystko było duże i ważne. Z chwilą wejścia na szkolną drogę wspinaczki po wiedzę i umiejętności, dom zdawał się stopniowo maleć w stosunku do poznawanego świata zewnętrznego, który jawił się ogromny i tajemniczy. Miał w wyobraźni dom, ale nie zmniejszali się rodzice i poczucie bezpiecznej z nimi więzi. Pozostawali wzorcem, choć z czasem rozbiegały się wspólne zainteresowania codziennego życia, bo było ono inne w rodzinnym domu i inne w miejscach, gdzie szukało się miejsca pod budowę własnego domu, miejsca życia nowej, pączkującej rodziny.

Podczas, gdy szkolna wiedza oddziaływała na umysł, somatyczna całość ucznia czy potem studenta poddawała się burzy hormonalnej, narastającej w okresie dojrzewania i trwającej ze zmiennym natężeniem w dalszym życiu. Zauroczeń objawieniami kolejno spotykanych, dziewczęcych piękności, było trochę w życiu. Zauroczenia były piękne i pogodne pozostało ich wspomnienie, ale straszliwie skłamałbym, gdybym nazwał młodzieńcze zauroczenia miłością. Jeśli już, było to zazwyczaj miłością własną i kierowanym przez nią pożądaniem samoluba, który domaga się uznania swej niezwykłości i ciągłego potwierdzania jej wszelkimi przejawami uwielbienia. Dopiero, kiedy spod klosza domu i wszystkich szkół wszedłem w tak zwane, normalne życie i zacząłem się hartować po pierwszych rozczarowaniach i trudnościach, zacząłem z wolna odczuwać potrzebę założenia własnej rodziny. Z zachwyty nad uroczymi koleżankami, w których jak rozpuszczone dziecko, upatrywałem piękną zabawkę, wolno przechodziłem do widzenia człowieka, ukrytego za fasadą wyglądu i zachowania.

## Szkoły

Ja, powojenne dziecko, doczekałem szczęśliwie w Polsce, w moim ojczystym kraju, wieku emerytalnego. Ze zdziwieniem oglądam czasami fotografię, na której z kolegą, obaj w marynarskich ubrankach, sztucznie uśmiechamy się do obiektywu aparatu fotograficznego, po uroczystości otwarcia roku szkolnego, stojąc na schodach pierwszej szkoły. Ubranko dawno mole zjadły a kolega poszedł gdzieś w świat i zniknął za horyzontem kolejno napływających wydarzeń. Szkoła podstawowa dzieliła się dużym budynkiem z czerwonej, klinkierowej cegły, z liceum pedagogicznym, była więc miejscem zdobywania wiedzy podstawowej dla zaczynających naukę a zarazem miejscem praktycznych ćwiczeń dla przyszłych nauczycieli. Za szkołą był plac składowania pni drzew, przygotowywanych do załadowania na wagony towarowe, podstawiane na przyległy, boczny tor małej stacji kolejowej. Między budynkiem szkoły, a budynkiem stacji wznosił się budynek mleczarni, z którego przez całe przedpołudnie dochodziły odgłosy przesuwanych, dużych metalowych konwi. Ścieki z mleczarni odprowadzane były do małej rzeczki o dumnej nazwie Łęcza. Łęcza od czasu do czasu robiła się więc biała lub białą zielonkawa, ładnie harmonizując z zielenią łąk, przez które płynęła. Jakby dla kontrastu z upartą w zainteresowaniu bielą mleczarni, blisko stacji kolejowej po przeciwległej stronie torów kolejowych, postawiono budynki smolarni, której do czerni produktów, które tam składowano i obrabiano, dołączał czarny dym, wydobywający się z metalowego cylindra komina. Tory kolejowe oddzielały biel od czerni, stanowiły też granicę podziału męskiej części naszej klasy na dwa zwalczające się obozy; tych przed torami, a więc z centrum miasteczka i tych za torami, albo z placu sportowego, czyli zamieszkujących miasteczkową prowincję. Obozy walczyły ze sobą jako drużyny piłkarskie w godzinach zajęć z wychowania fizycznego a po lekcjach walczyły ze sobą jako dwa dzielne oddziały bojowe. Oczywiście każdy oddział był tym jedynym sprawiedliwym i walczył tylko w słusznej sprawie. Walki polegały na rzucanie tego, co było pod ręką w stronę przeciwników w atakach lub taktycznych ucieczkach po przegranej bitwie to jednego, to drugiego oddziału. Walczący i zapamiętane biegający wojownicy przypominali nietypowe, wrzaskliwe grzechotniki, dzięki temu, że obciążone ceratą tekturowe tornistry wzmacniały grzechot noszonych z książkami i zeszytami,

obsadek piór i ołówków w drewnianych piórnikach. Dziewczyny z klasy nie bawiły się z nami ani w wojnę, ani w „sztandara”. Denerwowało nas trochę, że czasami wyglądało na to, że patrzą z politowaniem na nasze bohater-skie zmagania w takiej czy innej walce. Był to zdecydowanie inny świat – świat dziwny, zamknięty na zewnątrz, ale strasznie gadatliwy wewnątrz. Bez przerwy o czymś rozmawiały w małych grupkach. Skład grup się czasowo zmieniał, gdy się wzajemnie poobrażały. W naszym męskim świecie, po ostrej wymianie sprzecznych poglądów a potem zdecydowanych ciosów, problem zniknął i panowała znowu zgoda, bo przecież szkoda czasu na obrażanie się, kiedy wokół było tyle ciekawych spraw do załatwienia.

Inność świata męskiego i żeńskiego nie zatarła się, mimo promowania innych wzorców postawy kobiet, np. kobiety traktorzystki lub spawaczki we wczesnych latach pięćdziesiątych. Szaleństwo pychy człowieka, wyrażone w pogardzie i lekceważeniu praw przyrody z połowy dwudziestego wieku, wraca z nową siłą w pierwszym dwudziestolecu wieku trzydziestego. Ze szczytnymi hasłami na ekranach telewizorów i smartfonów zaleca się zabijanie słabych i niewygodnych, oczywiście dla ich dobra. Panie, potępiając mężczyzn, starają się być jeszcze bardziej jak ci, których krytykują. Niedawno ze zdumieniem oglądałem program, zachwalający treningi z boks dla kobiet. Przed kilku dniami w holu wyższej uczelni obejrzałem wystawę plakatów z hasłami w walce o zmianę końcówek wyrazów w języku polskim z męskich na żeńskie, w ramach wprowadzania dyktowanych przez mędrców a jeszcze bardziej przez mędrzynie „nadnauki” gender oznaczeń płci. Rozśmieszył mnie plakat z wielkim hasłem; „Nauka jest kobietą”, bo dowolne przydzielanie płci, jak reglamentowanego towaru, już nie tylko ludziom, ale i szerszym pojęciom abstrakcyjnym, przekraczającym fizyczność otaczającego świata, podkreśla groteskowość wzbudzanego na świecie szaleństwa kolejnej „rewolucji płciowej”.

A jednak natura, z jej doświadczeniem dynamiki naszej planety i tego, co się z nią i na niej dzieje przez tysiące i miliony lat, nie jest bezbronna. Choć człowiek w historii Ziemi jest od niedawna, to zdążył przyjąć wyposażenie obronne, pozwalające mu trwać w czasie. Ze zdziwieniem i rozbawieniem przyglądałem się niedawno, jako nietypowy nieco student pierwszego roku studiów uniwersyteckich, kiedy pomaturalna grupa spotykała się przed zajęciami, panie zbierały się w swoim gronie a panowie w swoim. Koledzy rano witali się podaniem ręki, ale tylko z panami a z paniami tylko niby od niechcienia rzuconym spojrzeniem. Panie także radośnie witały się z sobą, niby nie dostrzegając męskiej części grupy. Taki to był fason. Mnie dziwiło, ale pozostałych nie.

Już od czasów szkoły podstawowej nauka jednych z nas pociągała, innych trochę nudziła a wszystkich męczyła. Przerwy bywały hałaśliwe, bo wyrównywały obowiązek ciszy podczas lekcji, z której cisza przed wezwaniem do tablicy albo jeszcze gorzej, cisza przy tablicy, była strasznie męcząca. Pierwszą wychowawczynią była młoda, urocza nauczycielka o łagodnym i wręcz radosnym usposobieniu i pięknym uśmiechu. Chłopacy wpatrywali się w nią jak w dobrego anioła, który nagle objawił się w ich życiu, dziewczęta nie wyrażały swych opinii, ale sprawały wrażenie, jakby chciały zapamiętać, jaka moda kobiecego zachowania obowiązuje i jest najkorzystniejsza do naśladowania. Z trudem uczyliśmy się wszyscy pisanie. Początkowo ołówkiem, a gdy udało się utrzymać litery w pobliżu linijek na kartkach i nie przebijając kartek ołówkiem, wolno było pisać atramentem. Atrament spokojnie czekał w kałamarzach, umieszczonym w specjalnym wgłębieniu w środkowej, górnej części ławki. Pióro do pisanie atramentem składało się z drewnianej obsadki z metalowym kołnierzykiem, w którym mocowało się stalówkę. Stalówka szeroka w środku miała otwór, od którego podzielona była na dwie przylegające części, które zwężyły się stopniowo ku spiczastemu zakończeniu. Zanurzona w kałamarzu stalówka pokrywała się cienką warstwą atramentu, który spływał w dół w trakcie pisanie i pozostawiał czarną, niebieską albo zielony liniowy ślad na papierze. Wykręcanie linijki w kształty liter ołówkiem było już trudne, ale wykręcanie mokrej linijki w zawijasy liter wymagało mistrzostwa. Obok swawolnych liter pojawiały się kleksy lub rozpryski ciemnych kropek, gdy sprężysta stalówka zahaczyła o nierówność papieru i prostując się rozpryskiwała płynny barwnik. Pozwolenie na pisanie piórem zamiast ołówka było pierwszym szkolnym awansem i każde z nas napawało dumą. Wieczne pióra były luksusem, o którym marzyło się znacznie później a długopisy, symbol nowoczesności i marzenie każdego ucznia, pojawiły się na początku lat sześćdziesiątych, kiedy porzuciliśmy już do szkół średnich. Siedem lat to długo, gdy nie mogliśmy doczekać dorosłości a nauka języka polskiego, historii, matematyki, fizyki, chemii i biologii wydawały się być formalną koniecznością, której znaczenia dla normalnego, codziennego życia jakoś nie dostrzegaliśmy. Lekcje wychowania fizycznego miały dla nas znaczenie, w przeciwieństwie do lekcji muzyki, na których poznawaliśmy nuty i piosenki z klasyki ludowej, np. „Uciekła mi przepióreczka w proso”. Szkoła

pozostała w nas wszystkich i przez to, co nam dała i przez to, czym była. Powraca we wspomnieniach i w snach. Nauczyciele, koledzy, wiadomości lekcyjne i pozalekcyjne pozostały zanurzone w świadomości i podświadomości każdego z nas, uczniów.

Wyrastaliśmy. Trzeba było zmieniać odzież na coraz większą. Trzeba było zmienić szkołę. Większość wybierała technika zawodowe, które umożliwiały wcześniejszą samodzielność finansową i start w życie. Mniej było wybierających licea ogólnokształcące, które opóźniały start w samodzielność, ale za to otwierały drogę na studia i możliwość zdobycia zawodu, który zdawał się być wart poświęcenia z powodów uważanych za wyższe, lub tych, uznawanych za zupełnie prozaiczne. Egzamin wstępny do liceum ogólnokształcącego był pierwszą przeszkodą, od pokonania której zależał dalszy bieg życia. Egzamin z języka polskiego przeszedł sprawnie. Na pytanie matematyka: „Cegła waży kilo i pół cegły – ile waży cegła?”, odpowiedziałem pewnie: „półtora kilograma!”. Gdy twarz matematyka gwałtownie posmutniała, zdałem sobie sprawę, że bezmyślnie palnąłem gaflę. Wróciłem do domu z wysoką gorączką i nie było w tym winy bakterii ani wirusów. Walczyłem w wyobraźni ze światem, który się zawałał i nie dość, że ja to spowodowałem, to jeszcze ten cały świat wyobrażonej przyszłości walił się na mnie i przygniatał. Na szczęście okazało się, że poziom logicznego myślenia wszystkich zdających był zbliżony, czyli myślenie logiczne przegrywało z klepaniem zapamiętanych jako obowiązujące formułek. I ja i cała młodzież szkolna uczyła się logicznego myślenia na lekcjach matematyki. Matematyk, stary wileński nauczyciel, którego przez szacunek dla rozległości jego wiedzy nazwaliśmy „Kombajnem”, uczył nas właściwego wykorzystywania i rozwijania naszych młodych umysłów w kierunku rozumienia. Radość zrozumienia czegoś, co zdawało się być czymś prawie magicznym, była nowym przeżyciem. Zrozumienie czegoś było wspaniałą nagrodą za wysiłek uporządkowania chaosu myśli i skierowanie uwagi na dochodzeniu do odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. Męczył się „Kombajn”, żeby nakłonić nas do logicznego myślenia, w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”, bo stawianie pytania „dlaczego?” było niemodne i niebezpieczne. Realistyczne stwierdzenie, że *Bo tutaj jest, jak jest – po prostu, i ty dobrze o tym wiesz*, jak śpiewał w odpowiedzi na pytanie *...dlaczego tak tu jest?* Paweł Kukiz, piosenkarz, który stał się politykiem, wyrażało wieloletnią gnuśność, pozwalającą na w miarę bezpieczną, ale powolną wegetację społeczeństwa, bez wzlotów i bez normalnego rozwoju duchowego. Bierna postawa umysłowa ucznia lub próby odgadywania odpowiedzi na pytanie „dlaczego”, podparte, jak w życiu, obserwacją reakcji nauczyciela, na podawaną mu możliwość odpowiedzi, wywoływała zawsze u „Kombajna” nastrój przygnębienia. Z goryczą mawiał opornej lub opornemu na myślenie: *Dziecko! Jeśli tak dalej będziesz się uczyć, zostaniesz najwyżej nauczycielem*. Wobec utrzymującego się długo po wojnie niedoboru dobrze wykształconych kadr, ułatwiony był wstęp do dwuletnich pomaturalnych studiów nauczycielskich. Nasz profesor matematyki, uparty w uczeniu myślenia logicznego, widział, jak osłabiona i bezbronna staje się młodzież, odczyna samodzielnego myślenia a przymuszana do ślepego posłuszeństwa tym, którzy są od myślenia, a więc silniejsi i niewahający się w użyciu siły. Poraniony przez wojnę, pozbawiony nadziei po wojnie, starał się bronić młodzieży, która trafiała pod jego opiekę. Kadra nauczycielska szkoły średniej w małym miasteczku była wyjątkowa. Dzisiaj uważam, że z wszystkich szkół, w których zdobywałem wykształcenie, najważniejszą była szkoła średnia. Szkoła podstawowa przygotowała do nauki w liceum ogólnokształcącym, studia uniwersyteckie pomogły przygotować się do pracy zawodowej, jednak najwięcej dla rozwoju umysłu, rozumienia siebie i świata oraz wykształcenia postawy rozumnego bycia w świecie, wniosła edukacja maturalna. Kiedyś po wielu latach z zachwytem służyłem najlepszemu wykładu o obrzęku mózgu, przyczynach jego powstawania i mechanizmach samoistnego ustępowania i zasadach właściwego leczenia, wygłoszonego przez światowego znawcę tych zagadnień z USA, profesora Igora Klatzo. Wykład wygłoszony przepiękną polszczyzną, w uporządkowany i zrozumiały sposób, wywarł na wszystkich wrażenie czegoś wyjątkowego. Profesor Klatzo studiował na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie do czasu wojny, potem we Freiburgu i innych uniwersytetach. W przerwie po wykładzie spytałem go, która z uczelni najpełniej wpłynęła na jego naukowy rozwój i znakomite osiągnięcia. Nie zastanawiał się nad odpowiedzią. Powiedział śpiewną, wileńską polszczyzną: *Wie pan, to wszystko, co dotychczas w życiu osiągnąłem i to, kim teraz jestem, zawdzięczam moim nauczycielom z „ogólniaka” w Wilnie. To oni nauczyli mnie myśleć i dokonywać przemyślanych wyborów. Do dzisiaj jestem im wdzięczny*. Nie zapomniałem słów starego, amerykańskiego profesora z Bethesdy, który osiągnąwszy sławę światową, szczerze i z wdzięcznością wspominał dawno już nieżyjących nauczycieli jako tych, którzy obok rodziców, byli współautorami jego osiągnięć. Profesor Klatzo kolejny raz przypomniał

prawdę, którą czasami stara się przesłonić ludzka pycha, że do każdego życiowego sukcesu prowadzi droga, na której jest wielu ludzi pomagających w osiągnięciu tego sukcesu. Naturalnie, do osiągnięcia życiowych klęsk także może przyczyniać się udział bliźnich, jednak ich negatywny udział jest skuteczny dopiero w okresie schyłkowym, kiedy uparty nieszczęśnik zmierza do katastrofy błędną drogą, na którą został sprowadzony a której trzyma się uporczywie, zadufany we własną mądrość i nie zważając na sygnały ostrzegawcze.

Nauki nie skończyłem z chwilą uzyskania Dyplomu Lekarza w Poznańskiej Akademii Medycznej. Z dyplomem w kieszeni i wirum znaków zapytania w głowie, rozpocząłem prawdziwą naukę zawodu wśród chorych i naukę życia wśród zdrowych, nie stroniąc przy tym od bibliotek. Wyszedłem spod klosza i w szerokim świecie poczułem się nieco zagubiony. Zdobywając kolejne doświadczenia, kierowałem się drogowskazami, jakie pozostawił w mojej pamięci rodzinny dom, szkoła i moje wychowanie religijne.

## Religia

Są różne religie, różni są ich wyznawcy i przeciwnicy a prawie każdy dorosły ma jakiś pogląd na temat religii. Jak słusznie potwierdzają autorzy definicji religii, zamieszczonej w encyklopedii PWN, jest szereg jej definicji, rozpatrywanych pod różnym kątem, przeważnie jednak określają one religię jako sposób odnoszenia się człowieka do świętości [6]. Odniesienie do Boga lub tego, co człowiek uznaje za święte jest w naszej kulturze splecione z moralnością, jak podkreślają autorzy Stanfordzkiej Encyklopedii Filozofii [7]. Sama filozofia stanowi poszukiwanie odpowiedzi na podstawowe w życiu człowieka pytania. Szukaniem odpowiedzi na pytanie o źródła i znaczenie bytu zajmuje się filozofia teoretyczna. Filozofia praktyczna próbuje znaleźć odpowiedzi na zasadnicze pytanie: *Jak żyć?* By wiedzieć jak żyć, należy znać prawdę, po to, by właściwie osądzać rzeczywistość i podejmować rozumne decyzje co do koniecznego działania. Tym zajmuje się logika i w zasadzie tego dotyczą systemy kształcenia umysłów – od zamierzchłych czasów do dzisiaj. Część filozofii praktycznej, etyka, zajmuje się poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, jak należy żyć dobrze, czyli co należy robić, by osiągnąć dobro. Etyka zajmuje się poznawaniem i oceną moralności, czyli systemu zasad, przyjętych przez społeczeństwo za obowiązujące dla sprawnego funkcjonowania w nim podobnych sobie a jednak różnych i w różnych warunkach żyjących i oddziałujących wzajemnie na siebie ludzi. Religia jest w znacznej mierze systemem etycznym, jest podpowiedzią, jak żyć dobrze. Nie tylko. Religia, z jej odniesieniem do źródeł życia człowieka, jego materialno-duchowego wymiaru i sensu jego życia, przekraczającego swym istnieniem znaną nam fizycznie granicę czasu, jest silnie zakotwiczona w filozofii teoretycznej, a właściwie podstawowej. Podstawowej, bo bez próby ustalenia odpowiedzi o sens życia, wszystkie inne rozważania są wtórne, niespójne i choć praktycznie pozwalają one na dość wygodne życie, to jednak zubażają człowieka i nie pozwalają mu mieć nadziei na szczęście nieskończone. Ucieczka od zasadniczych pytań o sens życia oraz sposób dochodzenia do prawdy i osiągania dobra jest ucieczką człowieka od nadziei na prawdziwe szczęście. Przypomina to szybką ucieczkę z zamkniętymi oczyma.

Moi pradiadkowie, dziadkowie i rodzice byli ludźmi wierzącymi wyznania rzymsko-katolickiego. Wiara i praktyki religijne z nią związane były naturalną częścią życia, tak naturalną, jak codzienne wschody i zachody słońca, czy też zmieniające się pory roku. Z nielicznymi wyjątkami, cała ludność mojego miasteczka spotykała się w niedziele a już szczególnie w święta w kościele, w którym wszyscy czuli się trochę lepsi. W dni powszednie wszyscy zajmowali się budowaniem swego prywatnego, doczesnego szczęścia, grzesząc w miarę potrzeby lub w miarę okazji. Opinii miasteczka i okolicznych wsi nie umykało nic, co było albo niemoralne albo głupie. Nikt nie był wolny od społecznej oceny; ani ksiądz, ani felczer, ani aptekarz ani nawet burmistrz, sekretarz partii czy nawet komendant posterunku milicji. Wszyscy funkcjonowali na co dzień, usiłując godzić dwie odmienne receptury na dobre życie; chrześcijańską, z jej wiarą w Boga i ponadczasową wartość bycia dobrym oraz marksistowsko-leninowską, z jej ofertą świata bez Boga, ale za to z ubóstwieniem człowieka i jego rozumu, panującego nad materią tego świata i utożsamiającego szczęście z niepoohamowanymi dążeniami do fizycznych przyjemności.

Nie wszystko można było godzić, nie przekreślając samego siebie jako człowieka rozumnego, wolnego i uczciwego. Łatwiejszą z pozoru drogą życia z karierą i lepszymi warunkami materialnymi, zapewniało wyrzeczenie się przynależności do Kościoła Katolickiego. Trwanie w wierze chrześcijańskiej nie oznaczało, jak bywało to wcześniej, bezpośredniego zagrożenia życia, ale oznaczało przyjęcie piętna człowieka zacofanego i zepchnięcie do rzeszy



obywateli drugiej kategorii. Ciągłe trzeba było wybierać i ciągle rozpoznawać, co jest prawdą a co kłamstwem. I ja i moi rówieśnicy, wchodząc w dorosłe życie mieliśmy oczy szeroko otwarte i wyostroszony słuch.



Rycina 2. Fragment panoramy Ośna Lubuskiego z widoczną z daleka wieżą i dzwonnica kościoła farnego Na pierwszym planie bryła wielokrotnie remontowanego i rozbudowywanego gotyckiego kościoła pod wezwaniem Św. Jakuba Apostoła, z przełomu XIII i XIV wieku.

*Źródło: Zdjęcie z lotu ptaka, pochodzące ze zbiorów Pana Grzegorza Walkowskiego z Gorzowa, zamieszczone przez Panią Renatę Hryniewicz w Gazecie Lubuskiej w dniu 29 maja 2019 r.*

Zarówno szkolna wiedza, jak i wiedza przekazywana przez Katolicki Kościół, dawały nadzieję na osiągnięcie w życiu szczęścia. Ta pierwsza podpowiadała warunki osiągnięcia szczęścia w życiu, aż do jego końca, oczywiście z pułapem możliwości w wieku produkcyjnym i reprodukcyjnym. Ta druga dawała nadzieję na szczęście człowieka, przekraczające granicę życia biologicznego, wobec jego duchowego, ponadczasowego wymiaru.

W latach pięćdziesiątych minionego wieku w Polsce za obowiązującą narzucono ideologię socjalizmu według Marksa i wdrażanej w podporządkowanych krajach przez Lenina i Stalina w formie przypominającej nową religię. Uczni przekonywali, że Nieznanym Wielkim Reżyserem życia, świata i wszechświata jest Przypadek. Kto próbował twierdzić inaczej, ujawniał swoją niesprawność intelektualną, brak wykształcenia i cechy szaleństwa lub niedorozwoju. Choć Przypadek był reżyserem, to jednak gdzieś tam zniknął, a dalsze losy skutków Przypadku, jak wszechświat, świat i człowiek, zależały już od decyzji i odpowiedzialności rozumnych ludzi. Oczywiście rozum też był dziełem Przypadku, bo okazało się, że są ludzie słuszni i niesłuszni. Ci słuszni, to byli ci, którzy mieli więcej rozumu i uznawali, że ojcem wszystkiego jest Przypadek i tym samym oni przypadkiem mają więcej tego rozumu oraz prawo, żeby dalej, już rozumnie, kierować innymi ludźmi i całym światem. Naturalnie, ci mniej rozumni, którzy nie wierzą, że wszystko, razem z ludźmi, jest dziełem przypadku, a jakiejś wielkiej, rozumnej siły, którą nazywają Bogiem, uznawani byli za staroświeckich lub upośledzonych intelektualnie. Także oni, chociaż uznawali niepoznanego osobiście Boga za siłę najwyższą, doceniali rolę przypadków w życiu i uważali bardzo, żeby przypadkiem nie trafić na coś, co może im zaszkodzić. Mieliśmy więc do wyboru dwie drogi umysłowego i duchowego rozwoju. Pierwsza, uznana za drogę ludzi rozumnych, prowadziła do przekonania, że wszystko, co materialne, w tym my sami, jest wytworem bezrozumnego Przypadku. Druga droga, uznawana przez komunistyczne władze i zgodnych z nimi uczonych za błędną, prowadziła do wiary w to, że ojcem wszechrzeczy i źródłem życia był i nadal jest rozumna siła najwyższa, Wielki Reżyser – Bóg.

Nie łatwo było nam iść jednocześnie dwiema drogami, i to drogami, które zdają się prowadzić w przeciwnych kierunkach. W szkole dowiadaliśmy się, że prawie wszyscy, którzy żyli przed nami, a nawet wielu żyjących z nami ludzi dorosłych i starszych było albo głupcami, albo ofiarami głupców. Dowiadaliśmy się, że jesteśmy szczęśliwi szczęściem, które z czasem będzie coraz większe. To szczęście, mówiono, jest zasługą kilku bardzo mądrych ludzi: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina oraz rewolucji we Francji i w Rosji. Bardzo mądry ludzie odkryli, że ludzie są nieszczęśliwi, bo wielu złych ludzi im w tym przeszkadza. Przeszkadzaczami i psujami byli ci, którzy wierzyli bardziej w rozumnego Boga niż w przypadek i materię, poza którymi nie istnieje nic a człowiek sam może być dla siebie bogiem. Takich szkodników należało zwalczyć i zrobiły to rewolucje we Francji i w Rosji, zwane wielkimi, bo wymordowano podczas nich i przez dziesiątki lat później bardzo wielu ludzi a jeszcze więcej zastraszone. Bogaci w szkolną wiedzę chadzaliśmy wszyscy do parafialnej salki, w której słuchaliśmy biblijnych opowieści i uczyliśmy się, głównie na pamięć, prawd katechizmu. Tam dowiadaliśmy się, że istnieje, widoczny nam jedynie przez Swoje dzieła tajemniczy Bóg, który wszystko stworzył, wszystko wie i wszystkich kocha. Gdy moje roczniki przystępowały do pierwszej komunii, przejęte pasowaniem na dojrzałego odpowiedzialnego człowieka, nie było jeszcze mody na wystawne przyjęcia i bogate prezenty, odwracające uwagę od tego, co najważniejsze. Było to duże przeżycie. Na lekcjach religii uczyliśmy się, że stanowimy jedność duszy i ciała. Nadzieją, ale i wielką zagadką była sprawa ciągu dalszego po śmierci. Śmierć była pojęciem niepokojącym, ale niepokój łagodziła świadomość, że jest to problem, który trzeba będzie rozważać w dalekiej przyszłości, a poza tym, śmierć jest nieszczęściem, które dotyka innych ludzi – nie mnie, nie nas. Mnogość spraw w codziennym życiu i konieczność rozwiązywania ich codziennie i ciągła praca przygotowywania się na przewidywane problemy przyszłości, nie pozwalały na zbyt przewlekłe rozważania. Łagodziła lęk przed końcem życia nadzieja, że biologiczny koniec ciała nie oznacza końca istnienia, skoro niewidzialne JA, niewidzialna dusza, jest nieśmiertelna. Gdyby było inaczej, śmierć biologiczna ciała byłaby końcem istnienia, bez żadnej nadziei na powtórkę i na ciąg dalszy. Wobec braku nadziei na życie przekraczające granice czasu i przy głęboko osadzonych w organizmie człowieka, we wszystkich jego komórkach i w psychice, mechanizmach utrzymywania życia, jego obrony za każdą cenę i podświadomej pewności o jego nieskończoności, wartościowanie nawet krótkoterminowych celów było utrudnione. Z jednej strony busola moralna, w jaką wyposażony jest każdy człowiek, czyli sumienie, podpowiadała jedno, a z drugiej już zdobyte i ciągle zdobywane nowe doświadczenia i nabyta wiedza, podpowiadały co innego. Miotaliśmy się wszyscy między wyborem umiaru i samoograniczenia do zdobywania i robienia tego, co jest niezbędne dla przeżycia z jednej strony a nieograniczonego poszukiwania i korzystania z każdej chwilowej przyjemności w życiu, aż do samozniszczenia, z drugiej. Wybór był trudny, bo skutek wyboru tej czy innej drogi postępowania przychodził po czasie, często, gdy powrót do rozstaju dróg był bardzo trudny, albo już niemożliwy. Wybór umiarkowania stawał początkowo młodych ludzi w pozycji człowieka przegranego, życiowego nieudacznika i osoby niegodnej uznania wśród rówieśników. Wybór drugiej drogi oszałamiał świadomością udziału w pełni życia i osiągnięcia życiowego sukcesu. Pewność własnych racji i poczucie przewagi nad innymi, jak picie alkoholu człowieka od niego uzależnionego, z czasem dawało mniej radości i zmuszało do jeszcze większego poświęcania czasu i energii dla poszukiwań nowych źródeł przyjemności. Po latach ćwiczenia drogi umiarkowania lub drogi maksymalnego użycia, większe oznaki zagubienia, rozczarowania życiem i gniewu na wszystkich i za wszystko, częściej opanowywał psychikę wcześniejszych zwolenników maksy *carpe diem!* – czyli żyj dniem, wykorzystując każdą okazję i spełniając każdą zachciankę. Na starzejących się twarzach wcześniejszych nieudaczników, częściej gości rozjaśniający je uśmiech.

Podjęcie decyzji nie jest rzeczą łatwą. Przypomina pracę architekta, który planuje budowę wielkiego gmachu, który ma być piękny, wygodny i trwały. Jego wyobraźnia podpowiada piękno kształtu bryły, która jest wyrazem jego emocji estetycznych a jednocześnie logiczny umysł ocenia geometrię przestrzenną budowli, warunki ekonomiczne, jakość i koszt materiałów oraz możliwe do przewidzenia przeszkody lub ułatwienia, jakie mogą mieć w przyszłości wpływ na zmaterializowanie pięknej wizji. Świadomość człowieka przypomina nieco pianistę, grającego melodię życia na fortepianie jego mózgu. Mózg jest instrumentem, który umożliwia odczuwanie emocjonalnie zmysłowo i umysłowo poznawany świat w otoczeniu człowieka oraz logicznie analizować możliwie najlepsze decyzje zachowań. Człowiek wartościując swoją bieżącą sytuację i wybierając cele i sposoby ich osiągnięcia, korzystna z rozwiniętych w układzie nerwowym dwu skal ocen; oceny moralnej, etycznej,

estetycznej, wyrażonej emocjami oraz oceny logicznej. Skala pierwsza rozciąga się między poznanym złem a dobrem, ogranicznikami drugiej skali są prawda i fałsz. System oceny moralnej i emocje stanowią bardziej pierwotny układ motywacyjny w mózgu człowieka niż myślenie logiczne, ale oba stanowią w życiu dwie główne siły napędowe. Platon porównał emocjonalny i racjonalny napęd ludzkiego rozumu jako parę rozpedzonych rumaków, z których każdy ciągnie w swoją stronę. Doświadczenie życiowe podpowiada, że oba konie rozum i uczucia ciągną rydwan życia do przodu, i czasami silniej ciągnie rumak emocji, a czasami mocniej ciągnie i kieruje w bezpiecznym kierunku rumak rozumu. Logika i wiedza uzupełniają się więc i wspólnie wpływają na to, co w życiu uznaje się za piękne, dobre i prawdziwe, a co odrzuca się, jako ich przeciwieństwo. Czy logika jest oderwana od moralności? Przeciwnie – ściśle się obie uzupełniają. Człowiek nie lubi fałszu, i to gdy jest jego ofiarą i czuje niepokój emocjonalny i zwiększone napięcie, gdy jest jego źródłem. Wyrazem tego jest reakcja psychiczna i nerwowa w odbiorze lub tworzeniu muzyki, gdzie odbierana jako piękna muzyka, kojarzy się i z dobrem i z prawdą, więc jest syntetyczną odpowiedzią w świadomości człowieka na rozpoznaną zmysłowo i pozazmysłowo sytuację w określonej chwili życia [8,9].

Patrząc wstecz na drogę, którą mam już za sobą, cieszę się, że z nauką myślenia uczyłem się rozpoznawania tego, co dobre, więc i warte wysiłku życia. Nie uważam też, że rację miał znakomity filozof Bertrand Russel, który napisał: *Tak więc, to prawda, że nauka nie może rozstrzygać kwestii wartości, ale jest tak dlatego, że kwestii tych w ogóle nie można intelektualnie rozstrzygać: leżą one poza sferą prawdy i fałszu. Wszelka osiągalna wiedza dostępna jest tylko za pomocą metod naukowych, tego zaś, czego nauka odkryć nie może, żaden człowiek nie może wiedzieć* [10]. Ależ to nieprawda. Część wiedzy dziedziczymy, część zdobywamy lub tylko przechowujemy pod progiem świadomości. Wiadomości o funkcjonalnym stanie naszego ciała lub nietypowych sygnałach zagrożenie, docierające zmysłowo i zestawiane z archiwum wiedzy dawnej i pradawnej w naszym genomie, przechodzą do naszej świadomości jako zapamiętane sny z podpowiedzią koniecznego działania naprawczego albo tylko niejasne poczucie niepokoju lub przecucie zbliżającego się w czasie nieszczęścia. Ba także w genomie naszych współmieszkańców, bakterii, wirusów gromadzone są sygnały o ich zagrożeniu, które dalej przekazywane do ośrodkowego układu nerwowego człowieka-gospodarza powodują, że do swego zachowania wprowadzamy poprawki, pozwalające zachować życie i nam i naszym współmieszkańcom; bakteriom i wirusom. Czy czuję się dobrze, czy źle w danej chwili, nie wie nauka – to wiem ja sam, w oparciu o moje zmysły, moją odziedziczoną wiedzę i moją wiedzę nabytą. Nauka przekonywała nie raz o czymś, że jest prawdziwe a podana do wierzenia nieuczonym prawda okazywała się fałszem. Wielokrotnie, jako lekarz, z przerażeniem przyjmowałem nowe wiadomości, z których wynikało, że szkodziłem leczonym chorym, wierząc w naukowe fakty, które z czasem okazywały się pozorami prawd. Zadufanie we własny geniusz i potęgę umysłu uczonych obnaża wiarę we własną nieomyślność, brak pokory wobec siebie i brak tolerancji w dyskusji z głosicielami innych poglądów. Nauka przestaje być widziana jako nieskończona droga poznawania prawdy a jest przedstawiana jako nowa religia, deifikująca ludzki rozum a zasób wiedzy, uznany przez gremia naukowe jako jedyny zbiór prawd, okrzykniętych jako naukowe. Prawda zatem jest produktem przemysłu naukowego, a jej strażnikami i kapłanami są pracownicy instytutów naukowych. Poznanie człowieka indywidualne, nie jest poznaniem naukowym, zatwierdzonym przez uczone kolektyw, więc nie może być traktowane, jako prawdziwe. Taki rygoryzm zapobiegać może wielu zamierzonym fałszerstwom i zakłamaniom, niebezpiecznym dla społeczeństwa, ale z drugiej strony stanowi sztywny gorset, paraliżujący twórczą fantazję człowieka, zakorzenioną w wiedzy przeszłej i współczesnej – fantazję jak najbardziej osobistą, jedyną i wyjątkową umysłowi człowieka, którego życie było podobne do innych ludzi, lecz nie takie samo. Dzisiaj jestem spokojny i w pełni przekonany, że moja wiara w Boga i ewangeliczne prawdy, które przyswoiłem sobie, jako godne wiary, bo zgodne z osobistym doświadczeniem, nie przeszkadzała w poszerzaniu wiedzy ani ćwiczeniom umysłu, ale wносиła spokój wewnętrzny, gdy moralna busola sumienia odchyłała się w stronę przemożnych pokus rezygnacji z umiaru. Spotykanym chorym ich wiara i wiara ich bliskich nie przeszkadzały zdrowieć. Przeciwnie, dawała nadzieję i koła cierpienia duchowe, często trudniejsze do opanowania niż te cielesne.

Życie na Ziemi jest uniwersytetem, w którym doskonalili się każdy człowiek i każdy zmierza do osiągnięcia sukcesu, którym bywa szczęście, czasami utożsamiane z mądrością i miłością, czasami ze zdrowiem, materialnym bogactwem i ciągłym poszukiwaniem coraz nowszych i większych przyjemności osobistych. Uczył mnie też świat a i ja uczyłem się dla świata.

## Bliski i daleki świat

Mój świat był początkowo bardzo mały i ograniczał się do swoistej kapsuły życia, otoczonej opiekuńczym organizmem matki. Stał się ogromny i początkowo zupełnie obcy z chwilą narodzin. Urodziłem się w domu rodziców, był to więc rzeczywiście mój dom rodzinny. Rodzice zamieszkali w nim wiosną 1945 roku. Jego budowniczym i pierwszym właścicielem był niemiecki ogrodnik, hodowca konwalii i wytwórca przetworów warzywnych i owocowych, który uciekł przed zbliżającą się Armią Czerwoną w głąb Niemiec wraz z większością mieszkańców miasteczka. Pozostali w miasteczku nieliczni, którzy nie mieli sił, by uciekać, nie mieli dokąd albo uważali, że nie muszą. Byli ponoć i tacy, którzy przerażeni wiadomościami z szybko sunącego ku nim frontu wschodniego uciekali w samobójczą śmierć. Skąd o tym wiadomo? Mówili o tym Polacy, robotnicy przymusowi. Niektórzy z tych, którzy przeżyli, pozostali na miejscu, nie mając do kogo lub do czego wracać. Większość domów zwartej zabudowy centrum została zburzona już po działaniach wojennych. Cegły z rozbiórki ruin wywożone były do Warszawy, na odbudowę stolicy. Do niezburzonych trafiali przesiedleńcy z kresów i centrum Polski. Dowiadywałem się o tym wszystkim z upływem lat dzieciństwa i młodości. Poszerzał się wokół mnie świat, ograniczony początkowo do dziecinnego pokoju, potem domu i podwórka, potem miasteczka i okolic, potem do miasteczka z dużym węzłem kolejowym i pociągami, jadącymi hen daleko do egzotycznych miejsc, jak Szczecin, Wrocław, Warszawa albo Berlin. Świat poszerzał się gwałtownie i ciągle swą tajemniczością budził przyciągającą tęsknotę bliższego poznania. Świat swoją cudowną tajemniczością wabił ilustracjami książek, czasopism, znaczków pocztowych z zamorskich krain i kolorowych pocztówek. O ludziach i zdarzeniach opowiadali świadkowie. Podręczniki szkolne przybliżały dostrzeganie obowiązujących praw natury i praw porządkujących współdziałania ludzi między sobą, na co raz to wyższym poziomie organizacyjnym społecznych organizmów. Świat medycyny był światem, który poznawałem dokładniej od samego początku aż do dorosłości i jej zawodowego wypełnienia.

Poród przyjmował felczer, pełniący rolę lekarza rodzinnego aż do lat sześćdziesiątych, w których pojawił się w miasteczku pierwszy dyplomowany lekarz. Często zaglądał do naszego domu, a ja często bywałem gościem ośrodka zdrowia. Świat wielkiej medycyny akademickiej poznałem w wieku kilku lat. Gdy wkręciłem nogę między szprychy tylnego koła ruszającego motocykla, stałem się kaleką z niedowładem jednej nogi. Ojciec zawiózł mnie do Poznania, do szpitala ortopedycznego. Siedziałem na trawniku przed szpitalem, a ojciec wszedł do środka załatwić pomoc. Biedak, był zbyt uczciwym człowiekiem i nie miał zupełnie pojęcia o realiach postępowego życia, którego umiejętność załatwiania była jednym z warunków przeżycia. Wróciliśmy do domu. Przy ładnej pogodzie byłem wynoszony do ogrodu przed domem. Po kilku miesiącach wróciła zdolność poruszania się. Dzisiaj wiem, że doznałem najprawdopodobniej zmiążdżenia nerwu strzałkowego. W miejscu uszkodzenia pojawiały się później ograniczone zmiany skórne, okresowo o podłożu alergicznym. Drugi kontakt ze światem medycyny naukowej trwał dłużej, bo cały miesiąc. Miejscowy felczer, po kolejnym przeziębieniu z kaszlem i rzężeniami, które nie chciało ustąpić, rozpoznał „wodę w boku”. Postanowił dokonać jej upustu, nakłuwając ścianę klatki piersiowej grubą igłą. W zasadzie tak to się robi, gdy jama opłucnej wypełniona jest płynem, ograniczającym ruchomość płuca. Matka wystraszyła się jednak na widok grubej igły, jaką felczer chce przebić ścianę klatki piersiowej jej chuchrowatego dziecka. Kolejny raz ojciec zawiózł mnie do Poznania. Do dzisiaj pamiętam podróż, przerażenie ojca i słabość, której nie mogłem przemóc. Ojciec niósł mnie całkowicie osłabionego na rękach z dworca centralnego w Poznaniu do Szpitala J. Strusia a następnie do szpitala dziecięcego. Tam zostałem. Pierwsze dni sam w izolatce, ze stałym dopływem tlenu, zapalonym w nocy światłem i częstymi badaniami. Później, gdy stan się poprawił, trafiłem na salę siedmiołożkową. Byłem znowu w lepszym, weselszym świecie. Z zaciekawieniem śledziliśmy wszyscy poranne obchody, a już cotygodniowa wizyta ordynatorska była uroczysta jak msza rezurekcyjna w kościele. W czasie jednej z wizyt starszy pan w białym ubraniu zapytał mnie, co było przyczyną mojej choroby. *Woda w boku!* Odpowiedziałem, dumny ze swojej wiedzy i zdziwiony byłem reakcją starszego pana i całej jego świty. Kiwali z dezaprobatą głowami a starszy pan szybko zaczął wszystkim wyjaśniać coś, co powinni zapamiętać, a czego ja nie rozumiałem. Rozumiałem tylko, że coś było nie tak. Dzisiaj wiem, że było to klasyczne i częste w latach pięćdziesiątych, płatowe zapalenie płuc, które dzisiaj jest rzadkością, rozcieńczoną w wielu innych, skomplikowanych zespołach objawów, świadczących o zmaganiach organizmu z czymś, co zagraża życiu. Świat medycyny był jeszcze bardziej tajemniczy niż wszystko inne, co zdążyłem wtedy poznać.



Późniejsze doświadczenia życiowe były coraz ciekawsze, coraz piękniejsze, coraz bardziej ekscytujące. Pierwszy rower, który dostałem od ojca, ale i pierwsze lanie, które dostałem od matki, pierwsze zauroczenia, dalekie wycieczki, pierwsza przeczytana książka, przyjaźnie i marzenia, utworzyły w mojej pamięci obraz pięknego raj, który odpłynął w przeszłość. Im bardziej się starzałem, ten odpływający raj stawał się piękniejszy.

Zdaję sobie jednak sprawę, że piękniejące wspomnienie młodości jest potrzebnym mi złudzeniem, które jest jak słodka warstwa zewnętrzna, otaczająca gorzkie wnętrze kolejnego rozczarowania, które przecież ciągle przeżywałem i nadal przeżywam, gdy osiągnięty skutek moich marzeń i działań jest gorszy od zamierzonego lub wręcz przeciwny.

Jestem dziś pewien, że nie chciałbym powtórzyć mego dzieciństwa i mojej młodości, choć zapamiętałem je jako piękne. Łaskawa pamięć zamknęła wspomnienia błędów, klęsk, rozczarowań, lęków a często wstydu za własne błędy. Jestem tego pewien. Studiując przez rok sinologię, już jako emeryt, przyglądałem się pomaturalnej młodości. Byłem pełen współczucia i szacunku dla tych młodych ludzi. Mieli za sobą sporą część pięknej młodości, która nie była aż tak piękna, by nie pozostawić w nich widocznych blizn w psychice, w lęku przed niepowodzeniami w zdawaniu kolejnych egzaminów życia. Oni wszyscy wiedzieli, a jeszcze bardziej przeczuwali, że nie mają zbyt wiele czasu, by wspiąć się na płaskowyż ustabilizowanego życia zawodowego i rodzinnego. Pełen podziwu obserwowałem, jak próbują uczyć się efektywnie, a jednocześnie znajdować czas, kontakty z rówieśnikami, z cicho brzęczącymi w głowie pytaniami: *Gdzie jest moje szczęście? Gdzie jest ten/ta, której mogę zaufać? Gdzież jest ten ktoś, z kim przejdę przez życie? Czy czeka na mnie ktoś, kto nie zdradza, nie okłamie mnie, nie opuści, jak będzie źle? Czy znajdę prawdziwą miłość?* Wyczuwałem ich lęki, ich nadzieje i podziwiałem ciężką pracę, by swe życie wygrać. Patrząc na nich, współczułem im, a sam z ulgą uświadamiałem sobie, że nie muszę powtarzać tego etapu rozwoju. Nie muszę też powtarzać płaskowyżu ustabilizowanego życia, bo nie było ono nigdy zbyt stabilne, a właściwie dynamiczne, przypominające bardziej marsz przez górskie łańcuchy niż spacer przez płaskowyż. Lato życia trwało lata i jak to lato, bywało burzliwe.

Leon Drobnik

## Piśmiennictwo/References

1. Human Energy requirements, Report of joined FAO/WHO/UNU expert consultation, FAO Food and Nutrition Technical Report Series 1, United Nations University, World Health Organization, Food and Agriculture Organization of the United Nations; Rome 2004.
2. Harris JJ, Jolivet R, Attwell D. Synaptic energy use and supply. *Neuron*. 2012;75(5):762-77. doi: 10.1016/j.neuron.2012.08.019.
3. Kuzawa CW, Blair C. A hypothesis linking the energy demand of the brain to obesity risk. *Proc Nat Acad Sci*. 2019;116:13266-75; doi: 10.1073/pnas.1816908116.
4. Iqbal A, Energy in ATP. *A Physics Factbook*; 2000. <https://hypertextbook.com/facts/index-authors.shtml>.
5. The thermodynamics of brains and computers. <http://webhome.phy.duke.edu/~hsg/363/table-images/brain-vs-computer.html>.
6. Gadacz T, Milerski B (red.). *Religia*. Encyklopedia t. 1-10; PWN: Warszawa; 2001. 03.
7. Hare J. Religion and Morality. *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Fall 2019 Edition), Edward N. Zalta (ed.). URL = <<https://plato.stanford.edu/archives/fall2019/entries/religion-morality/>>.
8. Mesz B, Rodriguez Zivic PH, Cecchi GA, Sigman M, Trevisan MA. The music of morality and logic. *Front Psychol*. 2015;6:908. doi:10.3389/fpsyg.2015.00908.
9. Luo J, Yu R. Follow the heart or the head? The interactive influence model of emotion and cognition. *Front Psychol*. 2015;6:573. doi: 10.3389/fpsyg.2015.00573.
10. Russel B. *Religia i nauka*. Warszawa: Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”; 2006. s.150.